№ 1.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 6. Stycznia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Znowu jeden rok nam upłynął i rozpoczyna się nowy. Jeżeli obejrzymy się na przeszłe lata, i z pilniejszą uwagą przejrzymy ich wypadki, dopatrzymy dostatecznie różnicę pomiędzy każdym rokiem i postrzeżemy, że to, co w którymkolwiek wynikło, zawsze było niejako przygotowane w poprzednim. Niekażdemu dane jest aby z tego, co się stało, choć nie z pewnością, ale przez przybliżenie umiał powiedzieć co się daléj stać musi, lecz niemasz wątpliwości, iż są ludzie, którzy niejako umieją obrachować przyszłość; może potrzeba do tego szczególnego daru od przyrodzenia, może gruntowniejszego obeznania się z pewnémi umiejętnościami, a najpewniéj i jednego i drugiego. Jak trudno jest poznać przyszłość pod jéj wszelkiémi kierunkami, tak znowu obrawszy sobie tylko jeden punkt, łatwo można przewidzieć jego dalsze rozwiązywanie. Jeżeli w całéj Europie literatura, usiłowania ludzi obdarzonych wyższym duchem, zmierzały do oderwania człowieka od brzydkiego egoizmu, a wprowadzenia go na drogę poświęceń i sprawy ogólnéj, to pewno najbardziéj nasza literatura polska. Ledwo kilku litewskich autorów, a tu i owdzie pismo spruchniałego stronnictwa, stanowią w tym względzie haniebny wyjątek. Atoli nieuszło złe nikomu bezkarnie, choć dotychczas tylko pogardą mógł być ukarany. Widzimy, że rok upłyniony, choć może nieokazały ani w szczególne pisma, ani w uderzające wypadki, przecież szlachetnością dążeń zaszedł daléj niż poprzednie, jakkolwiek dla tego niewątpliwie, że jest ostatni, że jest wynikiem poprzednich. Z téj przyczyny nierozpaczajmy i o roku, który się poczyna: posunie on z pewnością wszystko dobre. Niegardźmy teoryami, dawniéj ludzkość i narody szły na oślep w przyszłość, dzisiaj zaczęły chodzić po drodze przez siebie przemyślanéj. Każdy człowiek nim gdzie swoje kroki zwróci, zawsze wprzód pomyśleć musi: „pójdę tam.“ Ludzkość i narody idą wolniéj, dłużéj, więc pomyśleć muszą, a wszystkie ich rozwinięte teorye stanowią dopiero jednę myśl „pójdźmy tam.“ Czyn więc jest owocem teoryi do czynu, dziś wszystko wzdycha i może rok poczęty jest powołany do rzeczywistnienia długo przerabianéj myśli, do zamienienia słowa w czyn, a więc rokiem ważnym, bardzo ważnym.

NOWY ROK.

Obraz fantastyczny.

— Skonał rok stary, z jego popiołów....

— Daj pokój tym poezyom — przerwał pan Ignacy. Śliczna to poezya, ale zawczesna; nieskonał jeszcze rok stary, dodał pan Franciszek: dzięki gospodarzowi naszemu, mamy jeszcze czém zalewać żal za konającym.

— Poezya to pianka panie, a tu mamy du solide, ciągnął daléj pan Juliusz, z dowcipnym uśmiechem wskazując na olbrzymią wazę ponczu wniesioną do obszernego fantastycznym zbytkiem przepełnionego pokoju. Bo w téj sali jakby w gabinecie rzadkości porozrzucane były przedmioty różnych kształtów i różnych wyrobów; była tam na starych zbrojach rdza, ten zabytek starożytności, połysk złota

nieszczędzonego na stołach, szafach i olbrzymim kominie; białe lica marmurowe obok twarz ożywionych mistrztrzowskim pędzlem; a na wielkim mozajkowym stole w bratniéj zgodzie stały porozrzucane fraszki dzisiejsze, obok puharów, którémi przepito saskie czasy, obok sprzętów, które przemawiały domowém zygmuntowskiego wieku życiem; wonny różaniec i oręż krzyżacki połyskujący całym kalendarzem nań wyrytym obok amuletu jakiéjś arabskiéj piękności, i lampy, któréj dziwny kształt wygląda jakby ułamek nieodgadnionego hieroglifu.

— Pijcie przyjaciele moi! ozwał się głos z głębi pokoju, głos, który zdawał się istotnie być głosem téj sali; bo w tym głosie, jak w téj sali były odcienia młodości, która krzyczy życiem dzisiejszém, i wieku, który stęka lat przebytych cierpieniem. Głos ten raźnie zaczęty, pełno rozległ się po sali, jęknieniem głuchém znikł nareszcie; snać ostatnie powietrza brzmienie dotknęło jakiego przedmiotu dźwięcznego. „Pijcie zapomnienie! pijcie przywitanie!“ ciągnął daléj pan Wacław gospodarz tego pomieszkania.

— Dobrze mówisz, ta waza ponczu niech będzie naszym zdrojem Lethe!... zapomnienie boleści minionych! do was bracia!

— Nie Albercie! ja się trzymam toastu przywitania! a mojaż sprawa ta sprawa mnie powierzona o milion dziedzictwa, ta sprawa, z któréj spodziewam się w tym nowym roku parę czystych wyciągnąć wiosek, w cóżby się obróciła, gdybym zapomniał przypadkiem owego dokumentu, bo to moi panowie dokument nie lada... ja go wynalazłem... ja twórca!

— Przestańże byś się z czém niewygadał .. czyliż i głowa adwokata podlegać musi mocy wyziewów trunkowych? Ja łaskawco piję, bo pić lubię, bez zdrowiów, chyba własne, bo mi te najpotrzebniejsze, bym mógł używać majątku, którym mnie mądrość najwyższego obdarzyła; co mi tam rok stary, czy nowy; to wymysł tych, którzy kalendarze przedają; ja chętnie płacę za nowy kalendarz, nową książkę, nową beczkę, nowy pasztet, bo mam pieniądze. Niema roku nowego, ale ponieważ chcecie gwałtownie zdrowiów, dobrze więc „niech żyje teraźniejszość!“

I brzękły szklannice; poczerwieniały dobrze już zarumienione twarze; bo pan Wacław wystąpił w ostatni dzień roku z kolacyą, na któréj były przysmaczki wszystkich pór roku minionego, a wina wszystkich krajów i smaków: była to kolacya Lukulla czasów godna, jak twierdził pan Franciszek, który lubił pić i jeść dobrze, bo miał czém zapłacić i bażanta i szampana.

— Teraźniejszość! mdłe to zdrowie! ja piję ten puhar do pamiątek, a ten do nadziei!

— Brawo do nadziei wygranego processu, mruknął pan Ignacy, a potém precz z pamiątką dokumentu!

— Mniejsza o to! wiwat pamiątki! to raz! wiwat nadzieja to dwa! wrzeszczał pan Franciszek.

I brzękły szklannice, pąsem oblały się twarze, twarz tylko gospodarza blada i coraz bledsza, rozłożony bowiem na miękkiéj sofie nic nie pije, oczami tylko niespokojnemi łyska w koło siebie, a ten połysk jest tak jasny i przenikliwy, że jak po cichu powiedział pan Albert zaciemia, oświecenie gazowe jakby cudem rozlane po całéj sali.

— Ja jestem za nowym rokiem, odezwał się pan Juliusz, cienki i chudy ułamek pięknego świata stołecznego, który już od dawna przy ponczowém światełku przewracał po ciasnych zakamorkach szczupłéj główki, ażali się gdzie nie zatrząsł czytany lub słyszany koncept jaki, na którym by mógł wskoczyć w rozmowę. „Cóżby się bowiem stało z pięknémi biletami, którémi są przepełnione sklepy nasze, co z życzeniami *pour souhaiter une bonne année!*

— Łaskawco! zdrowiów wam potrzeba?... francuszczyzna salonowa pana Juliusza przypomniała mi, iż możemy dziś jak Francuzi dawniejsi po śmierci króla wykrzyknąć: rok umarł! niech żyje rok!

I dzwonią szklanki, wre poncz w głowie, a Wacławowi musi być zimno, bo drzy blady, oczy zaś latają jak jaskółki przed burzą.

— Niech żyje! drżącym powtórzył głosem; lecz czyliż się już zaczął? która godzina? i rzucił niespokojnym w koło siebie wzrokiem, a wszystkie zegary porozstawiane w koło ścian niememi odpowiedziały mu skazówkami: spuścił zasępione oczy, rzucił się nazad na sofę, i smutnym dodał głosem. „O nie jeszcze! jeszcze cała godzina starego roku!

— Ej zapij łaskawco głupią niemoc, co cię tam trzyma do sofy przykutego.

— Pij poncz, a wygrasz proces z chorobą!

— Pij! to cudowny poncz! to szylerowski poncz! przedmioty wszystkie rozpromienia, w szaty poezyi obleka.

— Pij Wacławie, jeżeli niema twojego lekarza.

— Jestem! jestem moi panowie, ozwał się głos młody, roztrzepany i wesoły.

— Witaj lekarzu! pij poncz, kiedyś niepił szampana.

— Zkąd przybywasz?

— Z wesołego miejsca.

— Z zabawy jakiéj?

— Może od pięknéj spazmatyczki jakiéj?

— Lub od tajnego testamentu jakiego?

— Nie zgadniecie! nie! ja wracam z domu waryatów.

— Co z domu waryatów? krzyknął Wacław, i porwawszy się konwulsyjnym ruchem z sofy, pociągnął za sznurek od dzwonka, tak gwałtownie, że się aż zbiegła cała służka pańska.... Światła więcéj! mnie ciemno! ponczu więcéj! będę pił!... mnie zimno!

Przestrzeżeni goście pojrzeli po sobie; lekarz tylko przystąpił pare krokow bliżéj, porwał chorego za puls, potrzymał rękę przez chwil kllka, twarz wesołą skrzywił w końcu wyrazem pogardy, i spokojnym wyrzekł głosem. Napij się! napij! niezaszkodzi! o nie!

— Owoż panowie piję, piję raz, drugi i trzeci, bo widzę, żeście wypili niemało... piję jeszcze by zapić ten dom waryatów; zostałem tam powołany, bo mi jeden waryat konał, a druga waryatka uciekła sposobem nadzwyczajnym.

Wacław bledszy coraz, choć pije bez ustanku, zdaje się słuchać z uwagą słów lekarza; czasem tylko jakby od gadziny ukąszony skoczy raptownie, i wykrzyknie: która godzina? Lecz goście ledwie słyszą, bo w koło lekarza żywo się dzieje; nikną waze po wazie, a wesołość wre daléj szalona!

— Zbliżający się rok nowy niech żyje!

— Roześmiał się głośno lekarz. Niech żyje, bo stary umarł.

— Co? umarł już! wrzeszczał daléj Wacław.

— Wyobraźcie sobie moi panowie, że ten waryat, który umarł właśnie przy mnie, uroił sobie, że jest rokiem starym; miał on się przeszłego roku żenić w pierwszy dzień nowego roku: kochanka umarła w wilią dnia ślubu, a on zwaryował, i nazywał się odtąd starym rokiem; jakoż dziś właśnie skończył.

— A to zabawne!

— Jaka szczególna styczność szaleństwa i zdarzenia.

— Ot głupstwo łaskawco! pijmy!

— I umarł powiadacie! krzyknął Wacław tak przeraźliwie, że się musieli mimowolnie goście obejrzeć, i zadrzeli wszyscy, tak straszna była bladość na twarzy jego; chociaż pił ślankę po ślance wrzącego trunku, nic téj nienaturalnéj bladości zdjąć mu z twarzy niemogło, czasem tylko, czy to myśli, czy trunku skutek, przez skórę twarzy, jak przez alabastrową powłokę przebijać się zdawało niepewne i drżące światło lampy gasnącéj. Siadł na sofie, ręką przeciągnął po wyniosłém czole, skąpe już rozrzucił włosy, a okiem powlokłszy niecierpliwém po ściennych zegarach przenikliwym zaczął mówić głosem: ogień ponczu niemogąc twarzy ożywić wlał się w głos i słowa. O! nie skonał jeszcze, ja wam to mówię; jeszcze się rok nie pojawił... jeszczeście go nie ujrzeli, lecz poczekajcie jeno... dopiero pół do dwunastéj, jeszcze pół godziny, a ujrzycie to widziadło.

— On z gorączki gada!

— To marzenia panowie! hofmańskie fantazye!

— Lekarzu! puść mu krew!

— On pijany po prostu.

— Dajcie mu pokój! to fenomen jego choroby; i nowy uśmiech pogardy pojawił się na twarzy lekarza.

— A nim nadejdzie! światła! ponczu! pijmy przyjaciele! ja wam opowiem; nie śmiejcie się, ja wam opowiem zdarzenie prawdziwe!

— Powieść przy ponczu, o téj godzinie dzielącéj przeszłość i przyszłość, a to wyśmienicie; ja chcę powieści! pijmy bracia i słuchajmy.

— Mniejsza o to łaskawco! słuchajmy lub nie! ale pijmy.

— Słucham byle powieść niebyła długa, gdyż mnie wypada już kończyć tę miłą zabawę; jutro rano muszę do prezesów i niektórych konsyliarzów jechać z powinszowaniem.

— *Ce sera un conte bleu, on un conte verd!* z nieśmiałością wtrącił pan Juliusz okruszynę wynalezioną w pustych owych zakumorkach!

— To nie będzie bajka; rzekł lekarz; ja się spodziewam prawdy teraz od niego!... bo... to godzina przed tym nowym nieznanym rokiem.

— Słuchajmy i pijmy!

— Wiwat bajki, powieści, zdarzenia i romanse!

— Niech ich djabli wezmą; ja za nie płacę gotówką; wolałbym jednakże kupować jabłka tyrolskie; a jak ukąszę w które tych pism waszych, przychodzą mi na myśl owoce z nad zgniłego morza.

— Wam się zdaje, że cały świat tak kończy rok stary jak wy, że w ciepłym pokoju wre dla wszystkich nieskończona waza ognistego napoju, że wszyscy jedzą sutą kolacyą... o nie!... nie dla wszystkich komputy z pomarańcz i ananasów, nie dla wszystkich stary tokaj, i wonny Johanisberger: słuchajcie jeno, ja wam odmaluję obraz inny, obraz istotny! Był to jak dziś dzień grudniowy; wiatr huczał, i miotł śniegiem, ale nie rozbijał się bezsilny o kamienne miasta ściany; ale huczał pan samowładny po polu obszerném i z przeraźliwym świstem stukał o ciasne szyby małéj chałupy, która stała na górze sama jedna opo-

dal od lichego miasteczka. Był to dzień ostatni roku, ale roku okropnego dla mieszkańców téj chaty, roku nędzy najstraszliwszéj, która setnemi rózgami swemi chłostała ich dzień po dniu przez cały długi rok; w téj chacie zamieszkało dwoje ludzi... kochanek i kochanka, nie kochankowie z welinowéj powieści, z gaju wonnego, z miasta wygodnego, ale kochankowie, którzy w złowrogiéj chwili swoje dwie nędze złączyli w jedną olbrzymią nędzę! Czy panowie to rozumiecie co to jest nędza? panie Franciszku czy miałeś kiedy przy stole twoim nędzę? czy była nędza między klientami twemi szanowny prawniku? poeto zmyślonych zdarzeń maszli nędzę istotną? a ty cudzych miodów światowy szerszeniu, cóż wiedzieć o niéj możesz? jeden lekarz mógłby znać zapewne nędzę, ale woli zbytek, który dobrze płaci. On był młody, on był poetą, tak mu się przynajmniéj zdawało, bo miewał natchnienia cudnych barw; związek nawet z kobietą, był chwilowém natchnieniem... litości może! bo kobieta była realna, kobieta z pierwiastków błota ulicznego złożona!... I natchnione to uczucie wionąć musiało... zostało cierpienie okropne, potępione przez ogół, bo niezrozumiane; ale wiernie ciągnął za sobą młody człowiek ten łańcuch ciężki, do którego nędza i pogarda ludzi przyczepiały jednę wagę ołowianą po drugiéj.... W téj chacie, w owym dniu było zimno, bo nie było czém palić, a drzewa, ani słomy niebyło od kogo dostać. Czy dałeś kiedy drzewa ubogiemu panie Franciszku?

— Cóż mnie tam do ubogich, wszak muszą być ubodzy na świecie; ja zawsze daję żebrakom, byle się pozbyć ich piskliwych próśb!

— A potém, *il-y-a des intstituts* dla nich; nareszcie nasze wielkanocne kwesty.

— O ja mam szacunek dla ubóstwa! napisałem właśnie odę dla pogorzelców.

— I wiersz i kwesta, i grosz jałmużny, to nic naprzeciw recept, których ja tyle w dzień darmo pisać muszę!

— Zimno było owéj nocy, zimno nieopalanéj już dawno chałupy! natchnienie poety i mróz staczali walkę zawziętą, okropną; a wiatr nielitościwy wdzierał się przez szczeliny źle opatrzonéj chałupy! Panowie, to ładna myśl do obrobienia, ta walka mrozu i natchnienia poety! Lekarzu! twoja to rzecz; powiedz czy natchnienie zmarznąć zdoła?

— Jako lekarz sądzić tylko mogę o rzeczach istotnych... natchnienie zaś poety!

— Nie zmarzło przecie, ale jak ciepło ożywcze uciekając pomału ze skościałych członków tliło w jednym punkcie mózgu zebrane, tliło myślą szaleństwa! W kącie téj izby na ziemi rozciągnięta leżała długą chorobą zmęczona kobieta! kochanka niegdyś, dziś ciężar poety! Od dawna już życie ich było nieznośne, a kobiety choroba okropna; natchnieniem poety uszlachetniona kochała po raz pierwszy może, kochała już bez wzajemności... mocą tego uczucia zrozumiała całe położenie swoje, i cierpiała ból zimnemu ogółowi niepojęty! ona stała się jasnowidzącą! oczy jéj były zamknięte, ciężki tylko oddech świadczył o życiu, bo twarz była martwa i nieruchoma; czasem tylko cień od wiatrem poruszanego kaganka, gdy przeleciał przez blade lica, zdawał się zmieniać nieruchomy ich wyraz! W drugim kącie skulony siedział młodzieniec, i drząc na całém ciele, marzył tą jedną iskierką myśli... wiecie panowie o czém on marzył?

— Bo to posępna powieść! co nam do marzeń żebraka; pijmy łaskawco! dwunasta już się zbliża; i dzwonią szklannice, czerwienią się twarze, oczy iskrzą, a poncz jak czarownik samowładny tworzy cuda po rozkołysanych mózgu nerwach.

— On marzył... że jest stróżem przy wiecznie palącym się piecu.

Śmiech powstał ogólny, wtorowany dzwonieniem szklanek.

Wiatr zawył przeraźliwy, i aż do chałupy przyniósł dźwięk ponury zegara miejskiego... powoli, uroczyście zatętniło dwanaście uderzeń... westchnienie głośniejsze ozwało się z kąta chaty, i raptem wśród ogólnéj cichości głosem nie swoim zawołała chora.

— Kochanku! aniele! patrz! czy widzisz to widziadło jak wchodzi, małe... już większe... olbrzymieje.., powała pękła od dotknięcia głowy... rośnie w niebo! patrz!...

(Dokończenie nastąpi.)

Towarzystwo Agronomiczne Prowincyonalne Wielkiego Xięstwa Poznańskiego.

Rok zeszły zakończył się zaprowadzeniem u nas jednéj z najważniejszych instytucyi. Na dniu 28. Grudnia zawiązaném zostało Towarzystwo agronomiczne prowincynoalne dla Wielkiego Xięstwa Poznańskiego.— Już za ministerstwa kanclerza Hardenberga, któremu Prussy najliberalniejsze zawdzięczają instytucye i ustawy, zredagowany został projekt urządzenia na całą monarchią towarzystwa, złożonego z rólników i prze-

mysłowych, ku podniesieniu rólnictwa i przemysłu. Cały kierunek miał być oddany władzy, wolnemi wyborami członków do steru powołanéj, a rząd chciał się tylko przyczynić do ogólnego dobra, funduszami i innémi ułatwieniami, które są w jego ręku.

Projekt ten dla zaszłych wkrótce wojen i zmian politycznych nie został wprowadzony w życie. Dopiero dzisiejsze ministerstwo spraw wewnętrznych, uznawszy projektu tego błogie dla kraju skutki, postanowiło go urzeczywiścić. Wydane zatém zostały rozporządzenia do wszystkich władz naczelnych prowincyonalnych, ażeby w każdéj prowincyi monarchii pruskiéj utworzone zostało prowincyonalne Towarzystwo agronomiczne, mające się odnosić do władzy centralnéj, zasiadającéj w stolicy królestwa.

To najwyższe kolegium krajowe *(Ober-Landes-Collegium)*, mianowane jest przez króla, i złożone z najznamienitszych imion agronomicznych; otwiera stosunki z innemi krajami Europy i innych części ziemi, ku rozkrzewianiu i polecaniu komitetom prowincyalnym tego, co w onych krajach wynaleziono i uznano za dobre w rólnictwie i przemyśle, a coby i u nas zaprowadzić się dało. Toż kolegium najwyższe bierze na siebie pośrednictwo pomiędzy ministerstwem spraw wewnętrznych, a wnioskami wychodzącemi od komitetów prowincyonalnych, wskazuje potrzeby, ulepszenia, projekta do praw i instytucyi, które tylko drogą rządową zaprowadzić się dadzą. W ogóle kolegium rzeczone jest punktem środkowym, do którego się schodzą i z którego się rozchodzą promienie obwodu, rozciągnionego na całą monarchią.

Towarzystwa prowincyalne są mniéj, więcéj we wszystkich prowincyach na tych samych oparte zasadach, i trzeba powiedzieć, że w nich powiewa wolny duch czasu onego, w którym Prussy, właśnie siłą téj wolności parte, dzwigały się z upadku swego. Główne zarysy tych zasad są następujące:

1. Po całéj prowincyi tworzyć się mają powiatowe lub kilkopowiatowe filie agronomiczne, towarzystwa centralnego prowincyonalnego. — Celem tych filii niekoniecznie ma być agronomia w całéj obszerności; może nim być jakakolwiek gałąź gospodarcza lub przemysłowa. Towarzystwa już istniejące w podobnych celach, mogą przejść, jako filie do towarzystwa prowincyonalnego.

2. Towarzystwo prowincyonalne nie ma innych członków, tylko członków filii po prowincyi zawiązanych. Każdy członek ma prawo głosowania i wybierania Dyrekcyi. Większość głosów względna stanowi.

3. Każdy człowiek uczciwy i nieposzlakowany, może zostać członkiem którejkolwiek filii za opłatą 3 talarów, z których dwa idą na potrzeby filii, a jeden do kassy głównéj na potrzeby prowincyonalne.

4. Filie mogą nadać i zachować ustawy, jakie sobie nadadzą, byle takowe nie sprzeciwiały się fundamentalnym zasadom towarzystwa prowincyonalnego; to jest nie ścieśniały wolności przystępu członków, i nie stawiały zawad rozwijaniu się celów agronomicznych i przemysłowych towarzystwa; — mogą sobie obrać Dyrekcyą z nieograniczonéj liczby osób złożoną.

5. Każdy włościanin, opłacający składkę, może być członkiem towarzystwa. A że opłata taka mogłaby dla niego być za wysoka, wolno jest gminom wiejskim wybierać sobie reprezentantów, i przez nich mieć udział w obradach towarzystwa.

6. Walne zebranie wszystkich członków odbywa się dwa razy do roku i jest przechodne, to jest coraz w inném mieście, dla obudzenia ogólnego dla sprawy agronomicznéj interesu.

7. Dyrekcyą prowincyonalną stanowi prezes, wiceprezes, sekretarz i jego zastępca, podskarbi i jego zastępca, tudzież dyrektorowie po jednym z każdego filialnego towarzystwa. — Sześciu pierwszych obiera walne zebranie względną większością głosów. Z tych tylko sekretarz generalny, prowadzący całą korespondencyą, i redagujący pismo centralne agronomiczne, jest płatny.

To są fundamentalne paragrafy zasad towarzystwa prowincyonalnego agronomicznego. Jego czynności sięgać mają aż do ostatnich kończyn społeczeństwa rólniczego i przemysłowego i nadewszystko mają mieć na celu podniesienie małych i rozdrobnionych włościańskich rólnictw, aby utworzyć w téj najliczniejszéj warstwie społeczeństwa, stan ludzi silny i zamożny, będący każdego kraju najistotniejszą podwaliną — niewyczerpaném źródłem potęgi i siły — z którego najliczniejsze zastępy obrońców ojczyzny i najbogatsze zasoby materyalne w szczęściu i nieszczęściu.

Cała ta instytucya jest czysto konstytucyjna, i to jeszcze konstytucyjno-ludowa, oparta na równości praw od najwyższego do najniższego, na zupełnéj wolności wyborów, na całkowitéj niezależności od Rządu. Trzeba to przydać na zaszczyt naczelnéj władzy tutejszéj prowincyalnéj, że się nawet zrzekła prawa potwierdzenia prezesów, wyborem członków do stéru powołanych. Instytucya taka w kraju jeszcze niekonstytucyjnym, jest nadzwyczajnym krokiem postępu na drodze wolności społecznych, i obok materyalnych korzyści niesłychane oraz przynieść musi dla Pruss ko-

rzyści i następstwa społeczne. Jéj urządzenie jest równoległe urządzeniom politycznym sejmów prowincyonalnych, jednoczących się w komitecie stanowym. Atoli bez porównania zasady są wolniejsze, albowiem imie nieskazitelne i roczna opłata trzech talarów, jedynémi są warunkami, aby być wyborcem i wybranym; a co większa, że w téj instytucyi wszelka różnica stanów zniesiona.

W prowincyi naszéj zaprowadzenie takiéj instytucyi miało jeszcze inne trudności, których w innych prowincyach monarchii pruskiéj nie ma. Trudności te leżały w dwóch różnych narodowościach, i następnie w dwóch różnych językach, w których obradować trzeba. Pokonano wszelako te trudności, gdy i rząd ze swéj strony, i zgromadzeni obywatele porobili komissye, aby tylko dzieło tak ważne w skutkach swoich doprowadzić do skutku.

Na dniu 28 Grudnia w wielkiéj sali obrad sejmowych w pałacu Regencyjnym zawezwane Dyrekcye towarzystw filialnych, zebrały się nader licznie z członkami swoimi. Pokazało się, że się dotąd w Wielkiém Xięstwie Poznańskiém ośmnaście towarzystw filialnych zawiązało z liczbą około tysiąca członków. Blisko połowa z nich była obecną na sali obrad. Z ukontentowaniem widziano połączone wszystkie stany, i najmajętniejszych i najznamienitszych posiedzicieli dóbr, tudzież kilkudziesiąt kmiotków, co po raz pierwszy ujrzeli się wraz z panami w równych prawach, tam, gdzie chodzi o interes wspólny. — Zagaił posiedzenie walne Naczelny Prezes, okazując ukontentowanie z tak gorliwego udziału, do sprawy agronomicznéj, która się ma w życie wprowadzić. Rozpoczęły się dyskussye o balotowanie, którego statuta centralne nie przepisują, a które w towarzystwach filialnych zatrzymane zostały. Zgodzono się, aby odstąpić od balotowania, i aby względem przyjąć się mających członków Dyrekcya każdéj filii stanowiła, ku czemu liczba dyrektorów może być zwiększoną. — Co do języka, ugodzono się aby większość krajowców téj lub owéj narodowości stanowiła w jakim języku mają się obrady odbywać, że jednak wolno i tym, co zostają w mniejszości, odezwać się w swoim języku, i żądać w tym języku objaśnień.

Nakoniec przystąpiono do wyborów, które wielką większością głosów padły na osoby znane w publiczności, już to z wiadomości agronomicznych, już z talentu pisarskiego i naukowego. Ośmnastu dyrektorów filialnych, i sześciu urzędników obranych mieszczą w gronie swojém to wszystko, co pod względem agronomii kultury krajowéj, przemysłu i nauk, daje publiczności rękojmią, aby z téj instytucyi, wedle słów Naczelnego Prezesa w zagajeniu powiedzianych, zrobić umiejętną wyższą uczelnią dla rólnictwa i przemysłu w téj części kraju.

Nowoobrana Dyrekcya tego samego jeszcze dnia rozpoczęła swoje urzędowanie, oznaczając przedwstępne roboty i pensyą sekretarzowi.

Należy życzyć, aby dzieło rozpoczęte, pod tak pięknémi auspicyami, odznaczające się na wstępie gorliwością do rzeczy i jednością w zdaniu, utrzymało się i nadal i szerzyło się ku społecznemu dobru wszystkich.

Korrespondencya.

Londyn, w Grudniu 1844.

Idąc przed kilku dniami jedną z głównych ulic Londynu, zobaczyłem przed oknami pięknego pałacu, wyrobnika omdlewającego, zupełnie już sinego i jęczącego okropnie. Przechodzący mijali go obojętnie, a niejeden go nadeptał lub popchnął nogą. Kobiety dobywały flakoników i szły trochę prędzéj. Właściciel pałacu otworzył okno, i wtéjże chwili wygalowany i upudrowany lokaj wybiegł — nie dla dania wyrobnikowi pomocy, lecz aby sługę policyjnego zwołać. Niewiedząc jak pomodz nieszczęśliwemu, pobiegłem do pobliskiego szynku, aby mu trochę rumu przynieść. Gdym powrócił, już tego „urwisza“ sługa policyjny i wypudrowany lokaj, łajali w najokropniejszy sposób, że ulicę zawala, że pod oknami pałacu jęczy i raz poraz umierający dostał jeszcze szturchańca. Nieszczęśliwy ten wyrobnik umarł z głodu. Wypadki takiéj śmierci wcale tu nie są rzadkie, bo nietylko ci, którzy roboty dostać nie mogą, ale i ci z wyrobników, którzy ją mają, niemogąc za swoją zapłatę wyżyć, umierają z nędzy i głodu.

Okropny stan ubóstwa dostrzedz można nawet nieśledząc pojawów pauperyzmu. Wszakże w zimowych miesiącach po niezamarzłych kanałach brodzą starcy siwi już zupełnie, aby wydobyć trochę błota, gdzie jaki kawałek szkła, jaka skorupa, lub łachman się niekiedy znajdzie.

Ale cała okropność nędzy w Londynie uwidocznia się dopiero śledzącemu ją w dzielnicach miasta, gdzie przebywają wyrobnicy, gdzie są fabryki. Niemówię już o niemogących znaleść roboty proletaryuszach, którzy w nocy i w dzień włócząc się w pół obnażeni po ulicach, oczekują z jakąś okropną rezygnacyą śmierci z głodu. Takich nie jest przynajmniéj nazbyt wiele. Ale niemniéj nieszczęśliwi są wyrobnicy, którzy znaleźli pracę. Tych jeszcze podzielić trzeba na mających

się lepiéj i na uboższych. Lepiéj mającego się wyrobnika londyńskiego, poznasz po fraku czarnym, niegdyś stroju modnisia, dziś podartym, połatanym niemogącym się na piersi zapiąć. Pod frakiem niema koszuli wyrobnik, bo płótno nazbyt drogie w Anglii, na obnażonéj więc piersi i przez dziury fraka, dojrzysz zsiniałe od brudu ciało. Wyrobnik taki jada zwykle co dzień befsztyk, to jest zimne i surowe w krążki pokrajane mięso z psów, koni, kotów i innych zdechłych zwierząt, napije się co dzień kufel porteru i śpi najczęściéj w piwnicy na słomie. Wyrobnik taki ma się za bogacza i z pewną dumą pogląda na uboższego.

Ubożsi wyrobnicy obojéj płci, do lat ośmiu lub dziesięciu, nie noszą żadnego wcale ubioru, tarzają się w błocie ulic, albo wykopawszy sobie jamę pod jakiém drzewem, w niéj dzień cały i noc siedzą. Rodzice całkiem się o nie niekłopocą i tylko czasem dadzą im jeść, nigdy więcéj jak raz na dzień, a często tylko co drugi dzień. Od chwili kiedy zacznie pracować wyrobnik lub wyrobnica, okryje się jakim bądź łachmanem. Obnażone piersi, ręce i nogi kostnieją w zimie od mrozu i czarne są od brudu. Wyrobnik taki uboższy, niewychodzi nigdy po za tę dzielnicę miasta w któréj pracuje; w dzień nie wychodzi wcale na ulicę, w nocy zaś śpi albo w piwnicy mokréj, dusznéj i zapchanéj tak śpiącemi, że jeden na drugiego się tłoczy, albo pod gołem niebem na bruku, jeśli niema czém noclegu zapłacić. Wyrobnik uboższy jada zwykle tylko co drugi dzień i to jakąś mączną, szkaradną potrawę, lub tylko chleb suchy. Befsztyk i porter tylko wtenczas sprawić sobie może, jeśli dni kilka nic na jadło nie wydał. Takie życie jest umieraniem z głodu na lat kilka rozłożoném.

Téj okropnéj doli najliczniejszéj warstwy społeczeństwa, urąga bezczelnie azyatycki zbytek lordów, bogatych kupców i fabrykantów angielskich. Ich życie, to ciąg nieprzerwany rozkoszy, przepychu i ucztowań zrzeczywiszczających wystawnością, sny wschodnich powieści. Ich życie samolubne i niedające się ująć w słowa, obojętnością na los spółbraci spodlone, jest najokropniejszém zaprzeczeniem godności człowieka. Gdy serce narodu rozdziera do kresu ostatecznego posunięta nędza, gdy urągając sobie nawzajem żywioły, dobiegły w rozwoju kończyn sprzeczności i w przerażający sposób najliczniejszą warstwę społeczeństwa głodem i niedostatkiem wyniszczają, cóż czynią bogatsi i oświeceńsi Anglicy? na wyścigi przesadzają się w zbytkach i przepychu. Uczyniliż co dla polepszenia losu wyrobników? nic zgoła nie kłopocą się wcale o dolę proletaryuszów, a jeśli o niéj pomyślą, to tylko wtenczas, gdy ich dreszcz przejmie, że tym ofiarom rozpusty klass zamożnych zbraknąć może cierpliwości, że im przyjdzie świadomość, iż każdy człowiek powinien pracować i zapracować sobie na życie, iż to niemoże być zgodném z prawem natury, iżby z pracy robotnika kapitalista ucztował, a wyrobnik powolną głodu śmiercią umierał. Cóż więc czynią bogate klassy angielskiego społeczeństwa, aby wiadomości mogącéj się rozwinąć pomiędzy wyrobnikami zapobiedz? Czy istotnie dla dobra wyrobników pracują? czy starają się dać wszystkim pracę i wynagrodzenie godziwe za pracę, coby godząc interes wyrobnika z interesem kapitalisty dla obudwóch w następstwach zbawienném być mogło? Nie! bynajmniéj. Kapitaliści angielscy, lordowie, kupcy, fabrykanci, starają się wyrobnikom półśrodkową, uśmierzającą ledwie na chwilę rozpacz pomocą, przynieść trochę ulgi, ale tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, aby powstrzymać massy wyrobników od gwałtownych kroków, do którychby je rozpacz i głód spowodować mogły. Półśrodki uśmierzające, podawane pauperyzmowi przez klassy dobrze się mających, zależą najwięcéj bądź na cząstkowéj, niektóre indywidua dotyczącéj dobroczynności, mogącéj przynieść na kilka chwil ulgę, ledwie jednemu ze stutysięcy cierpiących, bądź zależą one na ogólniejszych dobroczynnych środkach, które lepsze bez wątpienia niż prosta jałmużna, niezdolne są jednak ani wykorzenić nędzy, ani wszystkim dotkniętym nędzą pomódz. Uśmierzyć one mogą nędze ledwie jednéj dziesiątéj z cierpiących najokropniéj. I to bynajmniéj nędzy nieznoszą, tylko ją trochę lżejszą czynią, śmierć z głodu dla jednéj dziesiątéj skazanych na nią wyrobników, na lat kilka odsuwają. Te ogólniejsze środki dobroczynne są tą zawsze jakieś prawa przysparzające roboty wyrobników. Do takich praw należy, np. iż niewolno domu budować, któryby niemiał ogrodu w około, które to prawo oczywiście przysporzyło robotę wyrobnikom, bądź przez utworzenie potrzeby użycia wielu rąk do uprawy ogrodów, bądź przez to, że ogrody takowe bywają wydzierzawiane, i chociaż już nie proletaryuszom, ale zawsze ubogim dzierzawiącym je przynoszą zyski. W prawach podobnych zawiera się jednak bardzo często wiele złego dla wyrobników, a to wtenczas, gdy roboty spowodowane prawem są tak uciążliwe, że zdrowie wyrobników niszczą i przestają być środkiem zarobku, a stają się niejako karą. Za przykład przytoczyć można zakładanie deptaków ludzkich, czyli młynów, których koła przez stąpanie człowieka obracają się, wymysłu barbarzyńskiego, będącego nie środkiem zarobkowania dla wyrobników, ale zamianą śmierci z głodu na śmierć ze zbytecznego wysilenia fizycznego.

Równie wiele złego zawiera się w prawach takich, które z części są filantropiczne, a jednak utrudzają zarobkowanie, jak projektowane prawo, aby dzieciom przed dojściem do 8go roku pracować niebyło wolno, lub, żeby dzieci nie 16cie godzin, lecz tylko 12. na dobę pracowały, o których to projektach tyle mówiono, a które byłyby szkodliwe, bo dzieci pięcioletnie, lub starsze, nie dla tego pracują i przeciążają się pracą, aby zbierać kapitały, lecz tylko aby z głodu nie umrzeć. Cóż poczną, gdy prawo zabroni im zapracować, na odwleczenie śmierci z głodu? Półśrodki, których zamożni używają w Anglii dla uśmierzenia cząstkowego pauperyzmu, są zaiste równym grzechem, jak cały stan nędzy wyrobników spowodowany tém, że klassy zamożne, dostatecznego i godziwego im za ich pracę niechcą dawać wynagrodzenia, nędzy, która niczem innem zmienić się nieda, jak dawaniem za pracę rzetelnie przynależącéj się zapłaty. *E.*

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1844." wyszedł poszyt XIIty i zawiera: 1) Sprawozdanie z historyi rewolucyi angielskiéj, napisanéj przez Dahlmanna. 2) Co mówią o Parafiańszczyznie. Wizyta wizyt. 3) O Słowianach pod panowaniem tureckiém, a w szczególności o ich dążeniach i środkach politycznych (ciąg dalszy).

Prezydent rzeczypospolitéj Mexiku, Santa Anna, niedawno temu ożenił się powtórnie; byłaby to rzecz naturalna, lecz dziwną się wydaje, słysząc, jak się to małżeństwo skojarzyło. Kobieta jedna często odwiedzała go i prosiła o wysłuchanie jéj prożby, lecz zawsze ją oddalono. Nareszcie wpadła na myśl, aby jéj towarzyszyła córka jéj 18letnia, sądząc, że piękność jéj zmiękczy upór prezydenta. Podstęp ten niewinny, udał się nad zamiar, bo Santa Anna na widok Mexykanki młodéj i pięknéj, pokochał się w niéj tak dalece, iż sam prosił matkę o jéj rękę, która przyrzekła mu córkę, jeżeli dopełni najtwardszych nań nałożonych warunków. Santa Anna wszystko wypełnił i otrzymał w nagrodę rękę młodéj dziewczyny.

Gazeta z Australii powiada: grzechotnik ukąsił przez bót w nogę jednego człowieka i ten umarł w skutek trucizny węża. Dwie inne osoby nabyły bóty po zmarłym i następnie jedna po drugiéj zmarły nagle. Dopiero późniéj odkryto, iż ząb zatruty węża pozostał w skórze i śmiertelnie ranił przymierzających bóty.

MODY.

Paryż, dnia 28. Grudnia 1844.

Z niecierpliwością oczekiwane wieczory, zabawy nadeszły i ukazały nam ubiory, które ton w krojach teraźniejszych nadadzą, lubo nigdy nie było rozleglejszego pola zostawionego w wyborze toalet, wystrojów, co teraz. Jeżeli podobają się suknie z gładkiéj i krepowanéj krepy, powłoki z jednokolorowego lub haftowanego tarlatanu, pompadury z gazy cieniowanéj, z zefiru i innych tkanin, to z drugiéj strony przekładają nad nie piękne jedwabne ubiory w łagodnych kolorach, strojąc je koronkami; koronki ciągle utrzymują się w modzie i robią z nich berty, fartuszki, ankaszanty, a nawet i małe turbany.

Co się kroju i kształtu sukien strojnych dotyczy, to małe w tém zaszły odmiany, z lekkich tkanin mają gładkie, czasem fałdziste staniki, rękawy przyszczupłe są z kilku bufek ułożone, podwójna lub potrójna powłoka bywa z boku albo pojedyńczym kwiatem, lub łańcuchem naturalnych lub sztucznych kwiatów ujęta. Tuniki uważają zawsze za wytworne stroje.

Suknie jedwabne mają gładki, mniéj więcéj sztywny stanik, często z wielkiémi wyłogami, tworzącémi bertę, pod niémi znajdują się ukryte rękawy obcisłe, małe i orzucone wązką koronką. Powłokę zdobią à la pompadour lub przecinają z przodu, ukazując z przecięcia koronki. Boki wierzchniéj powłoki są wyłożone i ujęte w rozety wstążkowe lub kwiaty. Ponieważ wyłogi te przypominają nam jaskrawo odbijającą podszewkę, stósowną przeto będzie rzeczą, jeżeli je gładką lub zmarszczoną ozdobimy koronką.

Pióra za strój głowy są w używaniu, gładko uczesane włosy noszą tylko młode osoby. Angielskie loki przenoszą damy nad inne.

Na wyjście w mieście najczęściéj używają futer, dla tego znachodzimy watowane paletoty z aksamitu lub płaszcze oszyte futrem, z wielką futrzaną peleryną; za największą uchodzi elegancyą mieć paletot lub płaszcz z téj samej tkaniny i koloru, co suknię pod spodem.

Objaśnienie ryciny.

1. Suknia z różowego atłasu; strój głowy z wiązadłem jedwabném.
2. Różowy kapelusz zdobny piórem. Suknia czarna atłasowa, na niéj opończa z czarnego aksamitu.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*